

Zachęta do czytania rozpraw Barbary Skargi

Przedmowa do pierwszego wydania

Mamy tu dwadzieścia kilka esejów (artykułów? rozpraw? wykładów? referatów? rozmów?), które, jak to zwykle w takich zbiorach bywa, pisane były niezależnie od siebie i nie układają się w ogniwa naturalnego łańcucha, tak iż czytelnik może je w dowolnej kolejności pożywać. Rychło jednak spostrzeże, że są to teksty wyraźnie, bez wątpliwości nie tylko z jednego ducha poczęte, lecz także właściwie, mimo bogactwa i różnorodności przedmiotów, wokół jednej sprawy rozkręcone. Jak tę sprawę nazwać?

O czymkolwiek mowa w tych rozprawach – a zawsze dotyczą one czegoś bardzo ważnego dla naszej kultury – autorka dostrzega trudności, o jakie się potykamy, gdy usiłujemy określić ściśle granicę między zjawiskami, z których jedno jest dobre, a drugie złe, a które albo z tego samego źródła wypływają, albo do tych samych motywacji ludzkich się odwołują czy też mogą uchodzić za odmiany tej samej natury. A przecież, chociaż trudno te granice zdefiniować i czasem, gdy nie chodzi o wypadki skrajne, możemy się wahać, jak rzecz daną i doświadczaną osądzić – odróżnienie dobra od zła nie zanika, nie może być nigdy unieważnione.

Wiemy, że cnoty mogą przez nadmierną konsekwencję w antycnoty, w zło się obracać. Wierność jest cnotą, a ileż zbrodni w jej imieniu popełniono. Przywiązanie do własnego narodu nie jest złem, przeciwnie, jest godziwe i zalecone: jak zdefiniować

miejsce, w którym przeobraża się w nienawistny, złowrogi szowinizm? A czy można twierdzić, gdy widzimy codziennie okropności morderczych nacjonalizmów, że w tych wybrykach demonicznych nic nie zostało już z owego godziwego przywiązania? Pewnie zostało coś, choć na złe użyte. I cóż jest złego w naturalnym bodaj pragnieniu „jedności”? I jak nietrudno wysublimować to pragnienie do pochwały totalitaryzmu z wszystkimi jego okrucieństwami.

Rzecz więc w tym, że nie tylko to, co „samo w sobie” godziwe i dobre, może złu służyć, lecz także to, co rozpoznajemy od razu, bez wątpliwości jako zło, ma często (a może zawsze?) jakieś uczestnictwo w dobrym, jakieś powinowactwo, jakiś korzeń wspólny, choćby odległy. Czyż cynizm nie ma jakiejś strony, co go spokrewnia z wolą prawdy? Czy komunizm z wszystkimi jego okropnościami nie nosi jakiegoś zaćmionego śladu swego pochodzenia w pragnieniu powszechnego braterstwa? Tak jest ze wszystkim, co złe i co dobre. A mimo to z uporem trzeba powtarzać, że różnica między dobrem a złem nie znika, nie może być nigdy unieważniona.

Coś analogicznego widzimy tam, gdzie nie chodzi właściwie o moralne jakości, o zło i dobro, ale o cnoty i przeciw-cnoty intelektualne. Kiedy powiadamy, że nauka ma ludziom pożytek przynosić, któż zaprzeczy? A można z tego hasła wydedukować program takiej wiedzy i takiego nauczania, w którym „pożytek” zredukuje się do użyteczności natychmiastowej i technicznej, gardząc tym wszystkim, co budowało od zarania kulturę europejską, gardząc prawdą jako wartością samoistną, od pożytku niezależną, gardząc większością tego, czym trudni się humanistyka rozumiejąca (a także istotne połączenie nauk ścisłych), której wprawdzie do garnka nie można włożyć, ale która ducha europejskiego przez stulecia ożywiała. Są jakieś racje, by obstawać za ideologią nominalizmu, ale można z nich przyrzędzić groteskowy bezsens „dekonstrukcjonizmu” i negację podmiotu ludzkiego.

Podobnie: któż może krzywić się na pochwałę nauki i „myślenia naukowego”? Można jednak, jak to wielu robiło, tak „naukowość” określić, żeby zlikwidować, jako zabobon ciemny, całą interesowność metafizyczną, bez której umysł ludzki nie tylko nie obywał się nigdy, lecz także bez której, jak za sprawą sztuczki zręcznego prestidigitatora, tenże umysł przeciw sobie się zwraca, siebie obezwładnia, przymusza siebie do uwierzenia, że prawdy nie ma, i samej nauki – jak ją uczeni pojmują – nie ma, i nie ma tegoż umysłu; słówko „jest” to tylko spójka, *copula*, wygodna, by jakieś cechy rzeczy opisać, ale niemająca sensu, gdy się jej tak używa, jakby opisywała czynność jakąś („Byt jest” głupio rzekł Parmenides, „Bóg jest” jeszcze głupiej rzekł Tomasz z Akwinu, „Czas jest” najgłupiej rzekł Bergson). W takich sprawach pomyślenia Barbary Skargi, profesor Skargi, mają całkiem wyraźny kierunek: ona umie powiedzieć, czym jest ta interesowność metafizyczna i dlaczego jest ważna. Wiemy, oczywiście, że zawsze się znajdzie pewna ilość – coraz mniejsza jednak, również w świecie anglosaskim – takich, co kiedyś przeczytali stu pięćdziesięciostronicową, jasno napisaną książkę Alfreda Ayera z 1936 roku¹, uznali, że teraz już wiedzą wszystko, czego rozum i ludzkość potrzebuje, i bez końca, nudnie powtarzają w kółko jej treść (zdania sensowne dzielą się na logiczne i empiryczne; matematyka i logika składają się ze zdań analitycznych, które o rzeczywistości nic nie mówią; to, co sensowne, musi być sprawdzalne; metafizyka i teologia nie są fałszywe, lecz bezsensowne; oceny moralne są wyrazami emocji itd.); nie myślą zgoła o tym, jakie założenia trzeba z góry przyjąć, żeby tej książce uwierzyć; słów, takich jak „nauka” i „naukowy”, używają też jako ideolozakłęk, podobnie jak kiedyś wyznawcy marksizmu-leninizmu. Kultura filozoficzna, wiedza humanistyczna idą jednak dokąd indziej, chociaż różne inne je trapią choroby.

¹ Chodzi o książkę: A.J. Ayer, *Language, Truth and Logic*, London 1936 [przyp. red. nauk.].

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

Proszę mi na słowo uwierzyć, że nie ma w tych rozprawach Barbary Skargi, w jakiegokolwiek kolejności je studiować, ani jednej, po której przeczytaniu czytelnik nie poczułby się wzbogacony, zbudowany i autorce wdzięczny.

Leszek Kołakowski

Oksford, lipiec 1999 roku